

Czy społeczeństwo obywatelskie jest w stanie zmienić decyzje rządów korzystając z narzędzi jakie daje Internet?

19 marca 2010

Zaczął się skromnie, w maju 2009 roku, od wpisu na blogu Remigiusza 'lRem' Modrzejewskiego, w którym ostrzegał on o niebezpiecznych przepisach, jakie planuje wprowadzić Unia Europejska, dotyczących umożliwienia dostawcom "pakietowania Internetu", czyli w praktyce filtrowania treści, które może oglądać abonent. Remigiusz powołał się na stworzoną naprędce stronę BlackOut Europe nawołującą do przekonania europosłów do poprawienia ustawy lub głosowania przeciw cenzurze.

Temat podjął błyskawicznie Wojciech Ryrych z Grupy Jakilinux, który samodzielnie stworzył stronę Stop Cenzurze i poinformował o tym fakcie w serwisie OSnews.pl. Pod listem do europarlamentarzystów umieszczonym na stronie już w ciągu pierwszych paru godzin podpisało się kilka tysięcy osób. Ale to był dopiero początek.

CENZURA? ALE O CO CHODZI?

Co wywołało taką panikę wśród internautów, że jak jeden mąż zaczęli podpisywać list i propagować akcję wśród znajomych? Otóż poszło o pewne zapisy w forsowanym przez Komisję Europejską „Pakiecie Telekomunikacyjnym”, które mogły być interpretowane jako przyzwolenie na cenzurowanie sieci oraz samowolne zwalczanie „piractwa” przez dostawców łączy internetowych.

Każda z firm dostarczających mieszkańcom Internet posiada

pełną kontrolę nad tym z których usług internetowych mogą korzystać abonenci. Tradycyjnie respektowana jest jednak tzw. „zasada neutralności sieci”, mówiąca o tym, że dostawca – mimo takich możliwości technicznych – nie ma prawa wpływu na to, z jakich usług korzystają abonenci ani jakie strony internetowe przeglądają. Pakiet miałby to zmienić przyzwalając explicite na tego rodzaju praktyki. Czemu mogłoby to być groźne? Wyobraźmy sobie sytuację, w której dostawca internetu jest jednocześnie dostawcą usług (np. telewizji internetowej). Taki dostawca mógłby celowo spowalniać lub też zupełnie wyłączyć usługi konkurencyjne, dzięki czemu klienci z konieczności korzystaliby z usług dostawcy, powiększając jego portfel. Inny problem to sieci wymiany plików (peer to peer). Korzystające z nich osoby często wykorzystują łącze znacznie intensywniej niż osoby, które w sieci przeglądają jedynie strony i sprawdzają pocztę. Zablokowanie tego rodzaju usług mogłoby udrożnić zapchane łącza dostawcy bez konieczności wykładania pieniędzy na inwestycje w dodatkową infrastrukturę.

Druga kontrowersyjna sprawa poruszona w „Pakiecie” to tzw. „piractwo”, czyli nieautoryzowane kopiowanie treści (głównie multimedialnych). W jednym z projektów wspomniano o możliwości odcinania od sieci tych internautów, którzy wielokrotnie łamią prawa autorskie ściągając lub udostępniając treści do których nie mają praw. Odcinanie takie miałoby leżeć w gestii dostawców, bez udziału sądu i bez możliwości odwołania się od samowolnego wyroku wydanego przez firmę. Problemy z takim prawem są co najmniej dwa. Po pierwsze – nie da się jednoznacznie stwierdzić, czy aktywność internauty jest łamaniem prawa bez zainstalowania infrastruktury szpiegowskiej śledzącej każdy ruch w sieci. Po drugie – firmy dostarczające łącza internetowe zyskałyby dzięki temu władzę quasi-sądowniczą. Odcięcie od Internetu w dzisiejszych czasach może być równoznaczne z pozbawieniem dostępu do informacji, utratą pracy czy wykluczeniem z sieci społecznych. To podstawowe prawa człowieka, o których decydować – jeśli w ogóle – powinien niezawisły sąd.

Zdania ekspertów (tych prawdziwych i tych samozwańczych) na temat powyższych zapisów były podzielone. Niektórzy, jak Konrad Niklewicz z Gazety Wyborczej (skądinąd wielki fan wszystkiego co unijne) wykpił działania internautów uważając, że niepotrzebnie „robią hucpę” negując dobre prawo („Pakiet” oprócz kontrowersyjnych zapisów dotyczących Internetu zawierał również mnóstwo regulacji związanych z telekomunikacją, które nie budziły takich emocji). Inni, jak prawnicy Olgierd Rudak czy Piotr Wąglowski, krytykowali przede wszystkim sposób, w jaki tworzy się prawo w Unii Europejskiej – do dokumentów projektów dyrektyw i regulacji bardzo trudno dotrzeć, sporo ustaleń zapada za zamkniętymi drzwiami i nigdy właściwie nie możemy być pewni jakie prawo zostanie poddane danego dnia głosowaniu. To skutecznie uniemożliwia dialog i konsultacje społeczne, podsycając uczucie niepewności wśród obywateli Unii.

AKCJA „STOP CENZURZE” NABIERA ROZPĘDU

Tymczasem do akcji włączył się Dziennik Internautów, publikując na swoich łamach artykuł nawołujący do podpisania listu. Akcję poparła również polska Partia Piratów, której członkowie stworzyli w międzyczasie stronę BlackOut Europe Polska i zaczęli się przymierzać do organizacji manifestacji przeciw Pakietowi w Warszawie. O sprawie napisały kolejno: Wirtualna Polska, Chip.pl, Portal Trójmiasto.pl, Gazeta.pl, VaGla.pl, Media2, Wiadomosci24 i inni. Pierwszego maja, w pięć dni po powstaniu strony „Stop cenzurze” i po zebraniu 35 tysięcy podpisów (kolejne 5 dni później było ich już prawie dwa razy tyle), wysłane zostały do europosłów listy informujące o skali protestu i zachęcające do wypowiedzenia się w sprawie. Odpowiedziało tylko troje i wszyscy zapewnili, że są przeciwko i tak też będą głosować na najbliższym posiedzeniu parlamentu.

Sprawa mogłaby się tak zakończyć, gdyby do akcji nie wkroczyły papierowe gazety i telewizja. Trzeciego maja, w dniu rocznicy uchwalenia pierwszej konstytucji, odbyła się manifestacja

przeciw “pakietowaniu” Internetu pod szyldem BlackOut Europe Polska, Partii Piratów i Dziennika Internautów. Wydarzenie to było na tyle medialne, że reportaż z niego pokazała Telewizja Polska, niestety manipulując informacjami tak, aby pasowały one do z góry założonej tezy (w skrócie: “piraci protestują przeciw blokowaniu sieci peer to peer”). Szereg artykułów i komentarzy w tej sprawie zalał następnie papierowe gazety. O sprawie zrobiło się bardzo głośno.

W tym samym czasie podobne akcje, dzięki działalności takich grup jak La Quadrature Du Net czy wspomniany BlackOut Europe odbyły się w całej Europie, co ostatecznie doprowadziło do odrzucenia „Pakietu” przez europarlamentarzystów i przesunięcia prac z nim związanych na wrzesień. Gazety w całej Unii otrąbiły sukces internautów. Niestety, uchwalony w końcu w październiku w atmosferze kompromisu „Pakiet Telekomunikacyjny” zawierał tylko zabezpieczenia dla internautów przeciw odcinaniu od sieci. Nie znalazły się w nim jakichkolwiek zabezpieczenia neutralności sieci, o które walczyliśmy. Niedługo trzeba było czekać na efekt tego zaniedbania...

Z BRUKSELI DO WARSZAWY, CZYLI O TYM JAK TUSK CHCIAŁ NAM SIEĆ OCENZUROWAĆ

16 listopada 2009 roku nasz rząd, bardzo nowocześnie, bo za pomocą swojej strony internetowej ujawnił plany filtrowania internetu w Polsce. Planowana ustawa miała kilka celów:

- Cel polityczny: odwrócenie uwagi opinii publicznej od „afery hazardowej”.
- Cel finansowy: łatanie dziury budżetowej poprzez ściągnięcie haraczy (koncesje) od właścicieli firm zajmujących się hazardem.
- Cel spiskowy (według zwolenników spiskowej teorii dziejów): zbudowanie infrastruktury umożliwiającej inwigilację obywateli oraz filtrowanie dowolnych treści w Internecie.

– Cel oficjalny: ochrona dzieci przed bezbezpieczeństwami tego świata – hazardem, pornografią i internetowymi oszustami.

Nowe prawo miało przejść szybko i sprawnie, bez zbędnych konsultacji społecznych, które – jak wiadomo – zdominowałoby hazardowi lobbysci. To co się wydarzyło, zaskoczyło jednak wszystkich.

Najpierw były apele pojedynczych osób i organizacji. Swoje stanowiska na temat ustawy przesłały m.in. Fundacja Panoptikon, Fundacja Nowoczesna Polska, Polskie Towarzystwo Informatyczne, Polska Grupa Użytkowników Linuksa czy Fundacja Wolnego i Otwartego Oprogramowania. Wszystkie piętnowały tryb prac nad ustawą, niechlujnie sformułowany tekst, zawierający błędy logiczne, ale również samą ideę ustawowego naruszania zasady neutralności sieci. Po tym jak pierwotna formuła ustawy została wyśmiana przez prawników, sformalizowane zostały przepisy dotyczące wpisywania i usuwania strony z „Rejestru Stron i Usług Niedozwolonych”. Miał o tym decydować Sąd Okręgowy w Warszawie, wydając postanowienie, od którego można byłoby się odwołać tradycyjną drogą (strona bądź usługa pozostanie jednak w tym czasie niedostępna). Z wnioskiem o wpisanie do rejestru będą mogłyby wystąpić Policja, Agencja Bezpieczeństwa Wewnętrznego, wywiad skarbowy i Służba Celna. Ustawa została ulepszona pod względem prawnym, ale problem główny pozostał: dlaczego rząd chce cenzurować sieć? I dlaczego zupełnie nie słucha ekspertów z organizacji pozarządowych, którzy od pojawienia się pomysłu bezlitośnie punktuja projekt?

Podczas gdy organizacje wymieniały listy z rządem, internauci postanowili działać. W ciągu kilku dni powstały trzy grupy w serwisie społecznościowym Facebook zbierające przeciwników ustawy. Stały się one głównym narzędziem komunikacji między ludźmi, którym nie w smak były zapędy cenzorskie rządu.

Mniej więcej w tym samym czasie, autor tego artykułu postanowił upublicznić swój – napisany jeszcze w listopadzie,

niejako na wszelki wypadek – list do Prezydenta RP, Lecha Kaczyńskiego, nawołujący go do zawetowania ustawy hazardowej, w razie gdyby zawierała ona artykuł dotyczący filtrowania sieci. Po nagłośnieniu listu przez prasę, m.in. dzięki artykułowi w „Rzeczpospolitej” (zadziałały tu znów podpisy zebrane w maju przeciw cenzurze Internetu – do 65 tysięcy osób dołączyło ponad 10 tysięcy kolejnych – takie liczby poparcia robią na rządzących wrażenie), przedstawiciele głównych ośrodków sprzeciwu, w tym Grupy Jakilinux, zostały zaproszone na spotkanie z Władysławem Stasiakiem w Kancelarii Prezydenta. Prawdopodobnie to właśnie wydarzenie sprowokowało Premiera Tuska do publikacji listu do internautów, w którym tłumaczył się on ze swoich intencji związanych z trefną ustawą i zapraszał do dialogu w sprawie „Rejestru”. Sprawy potoczyły się od tego momentu błyskawicznie. Inicjatywę przejął wtedy niezwiązany do tej pory ze sprawą bloger Maciej Budzich, który podjął się organizacji debaty między „internautami” a premierem.

DEBATA Z PREMIEREM I JEJ KONSEKWENCJE

Debate wzbudziła ogromne kontrowersje i sprowokowała wiele dyskusji. Kto powinien wziąć w niej udział? Może blogerzy? Może organizacje pozarządowe? A może osoby, które faktycznie doprowadziły do tego spotkania pisząc listy, organizując manifestacje i nagłaśniając sprawę? Maciej poradził sobie całkiem nieźle (choć oczywiście znaleźli się poszkodowani) z doбором uczestników i organizacją przedsięwzięcia. Na sali pojawili się przedstawiciele wszystkich organizacji, które miały coś sensownego do powiedzenia w sprawie ustawy, a także wybrani (według nieznanego klucza) blogerzy. Debatę odbyła się więc 5 lutego 2010 roku i wprowadzić nie doszło na niej do prawdziwego dialogu internautów z premierem, a Tusk „nie został przekonany” argumentami blogerów i organizacji, to efektem było przyznanie się premiera do niedopatrzeń w trybie prac nad ustawą wprowadzającą niesławny „Rejestr” oraz obietnica usunięcia rejestru z ustawy celem dogłębnej analizy

konsekwencji takiego rozwiązania.

Czy więc osiągnęliśmy sukces, jak obieściły to następnego dnia wszystkie media? Połowicznie. Na pewno udało się – po raz drugi w ciągu roku – zatrzymać pokusy rządzących do zwiększania swojej kontroli nad życiem obywateli. Po raz kolejny jednak okazało się, że rząd reaguje tylko wtedy, gdy czuje na sobie presję społeczeństwa. A presję tę czuje wtedy, gdy przeczyta o tym w prasie. A prasa napisze o tym tylko wtedy, jeśli temat będzie wystarczająco nośny. Co jeśli „Rzeczpospolita” nie napisałaby o tysiącach internautów proszących Prezydenta o weto? Co jeśli Prezydent nie wzięłby sprawy w swoje ręce organizując spotkanie? Czy doszłoby wtedy w ogóle do debaty z Premierem? W tej chwili możemy tylko gdybać.

PLATFORMA DLA PLATFORMY, CZYLI BLIŻEJ LUDZI

Można oczywiście zakładać złą wolę ze strony rządzących (jako klasy społecznej). Wtedy pozostaje nam nadal pisać petycje, zbierać podpisy, demonstrować przed Sejmem, najlepiej z butelkami z benzyną (rząd zwykle reaguje wtedy ekspresowo). Zakładając jednak optymistycznie, że problem polega nie na złej woli, a na braku narzędzi do komunikacji ze społeczeństwem, można go próbować rozwiązać wspólnie i nie jest to tak trudne, jak mogłoby się to wydawać.

Daniel Koć z Grupy Jakilinux podczas debaty z Premierem zaproponował, żeby konsultacje dotyczące ustaw istotnych dla społeczeństwa informacyjnego odbywały się... po prostu w Internecie. Jako, że „debata” polegała głównie na wygłaszaniu przemówień przez kolejnych zaproszonych gości, a nie na faktycznym dialogu, propozycja ta przeszła niestety bez echa. To nie przeszkodziło jednak Danielowi wytłumaczyć się dokładnie ze swojego pomysłu w artykule opublikowanym na wortalu jakilinux.org, gdzie pisze on tak:

„Nie ma co skupiać się na pertraktacjach z garstką ludzi,

kiedy możliwa jest znacznie bardziej bezpośrednia forma konsultacji. Z jednej strony bowiem liczba internautów, czyli właściwie obywateli, powoduje niemożliwy do rozwiązania problem logistyczny – jak wybrać reprezentację nie dyskryminując nikogo, jak ją zmieścić w sali i jak dać realną, a nie tylko „hasłową” możliwość dyskusji. Z drugiej jednak wystarczy zmienić sposób myślenia, a problem sam się załatwi, i to z nawiązką.

Gdyby bowiem z internautami prowadzić wielogłos w (niespodzianka...) Internecie, to nie trzeba by było nikogo upychać w żadnych salach ani w wąsko określonych godzinach. Ilość także nie byłaby takim problemem: z milionów ludzi przecież nie wszyscy mają zamiar zabierać głos – ale to oni sami decydują, czy się włączą, a więc nie ma dyskryminacji.

Premier ujawnił, że ustawa zawierająca propozycję rejestru została celowo szybko przepchnięta, ponieważ obawiał się działań lobby hazardowego. Rząd wybrał więc drogę „nie ufamy nikomu i lepiej zrobmy to po swojemu, żeby tylko uniknąć manipulacji”. Tryb jej tworzenia odzwierciedla skutki samego rejestru, gdyby stał się obowiązującym prawem: na obawie przed zagrożeniem ze strony nielicznych mogą stracić szerokie masy ludzi. W toku powszechnej, przejrzystej debaty publicznej, lobbyści oczywiście także mieliby głos, jednak w społeczeństwie istnieją także ich naturalni przeciwnicy: inni lobbyści lub po prostu ludzie o odmiennych przekonaniach.

Zamiast otaczać się wałem obronnym, rolą władz w tym nowym modelu byłoby uwzględnianie zdania wszystkich zainteresowanych, moderowanie i szukanie porozumienia na każdym etapie powstawania prawa. Wymaga to więcej zaufania do demokracji obywatelskiej; uznania, że szerokie uczestnictwo zmniejsza ryzyko wynikające z istnienia grup partykularnych interesów; dostrzeżenia w tym mechanizmie szansy na prawdziwe wychowanie obywatelskie; no i oczywiście stworzenia odpowiednich narzędzi technicznych oraz procedur – ale w naszym ustroju to chyba nie są nadmierne oczekiwania wobec

władzy, prawda?”

Łatwo zarzucić tej wizji uproszczenie, a nawet utopijność. Słusznie, bo to zaledwie wizja – pewna rama, sposób i kierunek myślenia, którym warto się kierować jako ogólną wskazówką.

Nie uważam, żeby wizja Daniela była utopijna. Takie rzeczy przecież już się dzieją, a platformy służące do zbiorowej współpracy tysięcy, a nawet milionów ludzi istnieją w Internecie. Wystarczy wspomnieć o projekcie Wikipedii – darmowej encyklopedii tworzonej przez ochotników. Dlaczego prawo nie mogłoby być, jeśli nie tworzone, to chociaż konsultowane, w podobny sposób? Zwłaszcza, że oprogramowanie zasilające Wikipedię – MediaWiki – jest otwarte i darmowe. Nic tylko korzystać!

Michał Boni z Kancelarii Prezesa Rady Ministrów w końcowej fazie debaty zapowiedział stworzenie internetowej „platformy” usprawniającej konsultacje społeczne. Miałaby ona zapobiec „nieporozumieniom”, jakie wynikły m.in. podczas próby przepchnięcia ustawy hazardowej z „backdoorem” w postaci cenzury sieci. Czy będzie to demokratyczna platforma, w której udział będzie mógł wziąć każdy obywatel zainteresowany zmianami w prawie, czy niszowy system tylko dla starannie wyselekcjonowanych organizacji? Odpowiedź na to pytanie pokaże jakie jest faktyczne podejście władzy do idei konsultacji społecznych. Pokaże ona na ile zapowiedzi demokratyzacji procesu tworzenia prawa i wyjścia naprzeciw oczekiwaniom społeczeństwa informacyjnego były sloganami, a na ile realnymi planami rządu.

Autor: Borys Musielak

Zdjęcie: [Urban Artefakte](#)

Źródło: [Dziennikarstwo Obywatelskie](#) i [Liberte!](#)

Na licencji Creative Commons Uznanie autorstwa – Na tych samych warunkach 2.5 Polska

0 AUTORZE

Borys Musielak – urodzony w 1980 roku w Toruniu, absolwent informatyki w Polsko Japońskiej Szkole Technik Komputerowych. Przedsiębiorca internetowy i bloger. Jest właścicielem informacyjnych serwisów internetowych: OSnews.pl i LinuxNews.pl oraz wortalu dla użytkowników Linuksa: jakilinux.org, funkcjonujących jako całość pod nazwą Grupa Jakilinux. Tworzy też społeczność miłośników ambitnego kina na Filmaster.pl, gdzie prowadzi swojego filmowego bloga (michuk.filmaster.pl). Od 2005 roku działa na rzecz neutralności sieci oraz promuje wolne oprogramowanie w Polsce.